№ 18. Warszawa, dnia 2 Maja (20 Kwietnia) 1896 roku. Rok XXXVIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

I.W.

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kopiejek 10.
Na prowincyi
Kwartalnie . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Za jeden wiersz petitem kop. 12.

St. Ariel.

UŁUDY

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

(Ciąg dalszy).

Ada wywody swe roztaczała w imię równouprawnienia kobiet; Hela zaś głównie z punktu rzetelnego i poważnego traktowania każdej pracy, przy czem oczywiście nie zapomniała przytaczać jako wzór akademii i systemów zagranicznych, gdzie mimo względów na przyzwoitość, gruntowna nauka odbywa się swoim porządkiem.

Spory na ten temat zakończyły posiedzenie i panny rozeszły się nim wieczór zapadł. Jedna tylko nieśmiała, milcząca Felicya pozostała z upragnieniem wyczekując chwili poufnej rozmowy, do czego prawo przyznawała sobie z mocy wyjątkowego przywiązania, jakie dla „ubóstwianej” żywiła.

Ada wszakże potrzeb jej serca nie dzieląc, a z natury nie cierpiąc również wszelkiego przymusu i narzucania, wprost niechętnie pomyślała:

„Ciekawam po co ta jeszcze nudzić mnie będzie?”

Jednak żałobna suknia i smutna twarz biednej dziewczyny wstrzymały ją od jawnego okazania niecierpliwości.

Rozsiadła się tedy wygodnie na otomance i ziewnąwszy parę razy, poczęła rozmawiać łaskawie:

— A co poczniesz teraz w Warszawie, gdy ci z domu nie dopomogą? — pytała. — Malarstwo chyba rzucisz bezwarunkowo?

— Nie, nie! — odparła strwożona Felcia. — Pani Darska właśnie mówiła, aby do szkoły przychodzić, jakkolwiek z opłaty mnie zwalnia.

— Ależ co ci po tem? Zdolności nie masz, nauczyć się tyle, by zarobkować, nie zdołasz nigdy. Zresztą w Warszawie utrzymać się pewno nie będziesz mogła, a sztukę zaszczepiać gdzieś w Pacanowie, to nie ma sensu, ani szans powodzenia. Czasu twego szkoda poprostu na dalsze studya — przekładała Ada, przynajmniej w wypowiadaniu sądu bez ogródek nie nakładając sobie tu hamulców.

Felicya, która nasiedziawszy się do syta poprzednio, snuła się teraz cicho i ostrożnie po pokoju, przystanęła przy biureczku i machinalnie zaczęła palcem skrobać zastygłe krople stearyny, które na ciemnem drzewie gdzieś z brzegu bielały.

W gardle ją zadławiło, oczy spuściła zamglone.

— Powinnaś postarać się o więcej lekcyi, ja ci może w tem dopomogę, a najlepiej wyuczyć się czegoś praktycznego, jakiegoś rzemiosła, czy szycia, powrócić do siostr i matki, z niemi zamieszkać i pracować; przecież łatwiej będzie wam się utrzymać razem — dalej prawiła Ada.

Po szczupłej, szarej twarzy Felci staczały się tymczasem łzy, jak groch duże, a gorące.

Przed zaćmionemi jej źrenicami poczęło się w obrazach przesuwać życie proste, ciasne, przygniatające, zapełnione pospolitemi dążeniami i zadośćuczynieniami — życie jej dzieciństwa i otoczenia; a następnie to nowe, jakby wyższe, szlachetniejsze, więcej ludzkie i duchowe, szersze, którego tu zakosztowała. I jął ją zdejmować okropny smutek nad swą bezradnością i niemocą, i strach przed tem, by istotnie mus nie zepchnął jej napowrót w ciemnię. Przykrość cała zaś tem więcej wydała jej się gorzką, że wyrok nieubłaganej konieczności padał właśnie z ust tej, którą ona kochała gorąco i też z bólem byłaby żegnała. Że zresztą w tej chwili bezwiednie, a jednak dotkliwie odczuła obojętność tej przyjaciółki, a swoje na świecie opuszczenie sieroce.

Ada widziała jej łzy, i nie ruszając się z miejsca myślała:

„I ta już zbałamucona Warszawą, beczy na myśl wyjazdu? A co *jej* po siedzeniu tutaj? Dużo się naużywa, Boże!”

— Słuchaj, pieniędzy ci nie potrzeba? — zapytała po chwili równie zniecierpliwiona widokiem łez, jak i poruszona jakimś niepokojem swego dziwacznego serca „bez serca.”

— O, nie, dziękuję, mam jeszcze, i znów w jednem miejscu odbiorę — cicho, zacinając się odparła znękana dziewczyna.

Wtem dzwonek się odezwał.

Ada zerwała się w momencie ogniem oblana i spojrzała, jak gdyby chcąc wzrokiem, niby wichru pędem precz wymieść Felicyę z pokoju, przekonana, że Janusz przybywa.

Tymczasem na progu stanął Hubicz.

Ona wszakże była tak pomieszana błyskiem nadziei, jaka jej mignęła i niezadowoleniem, że wizyta przy świadku wypadnie, iż w pierwszej chwili nie odczuła nawet doniosłości zawodu.

— A, to pan?—zawołała z gorączkową i względem Maryana już niezwykłą uprzejmością, pod którą chciała wzruszenie ukryć.—Pan nie w Galicyi?

— Panna Julia pani nie wspominała? A mnie nakłaniała do przyjścia tu o piątej, jakby z wyższego upoważnienia. Ale wolałem uniknąć gości.

— Dobrze pan zrobił — odparła Ada, nie przyznając oczywiście, że zapomniała nawet zapytać o niego Julii. — Wszak państwo się znają? — dorzuciła, zlekka ręką zataczając w stronę Felci, która ukradkiem osuszała w kącie oczy.

— Tak, mam przyjemność — bąknął Maryan, ledwo za wskazówką spostrzegłszy drobną postać w cieniu.

Ale gdy wzrok na niej zahaczył, to i dojrzał odrazu żałobę i łzy.

Podsunął się, powiekami mrugał.

— Pani w smutku? Pani straciła kogoś blizkiego? — mówił ze współczuciem, którem zdawało się, obdarzyłby zarówno i zbiedzone ptaszę.

— Niech pani jednak nie troska się nadto! — podjął po chwili zadumany. — Ci, co odchodzą z ziemi, snu zażywają w najgłębszej ciszy, a ci, co pozostają, tyle mają do spełnienia dla żyjących, że zawsze pociechę znaleźć winni. Zresztą, ludzie dobrzy są, dobrzy pani! Trzeba w to wierzyć mimo wszystkiego. Ciepło serca i szlachetność, jak złoto z pod szorstkiej skorupy ziemi często zabłysną niespodziewanie, i człowiek ma gdzie przytulić się, ogrzać, przygarnąć, lubo sam rzucony zda się na igraszkę losów — dokończył, poczem oczy głębokie i zwykle ruchem rzęs bezustannie ćmione, gdzieś w dali zatopił jasnem, otwartem wejrzeniem.

— Chodź, chodź, usiądź przy nas, a uspokoisz się — wnet rzekła Ada. I powstawszy, za rękę przyprowadziła Felicyę, którą na nowo rozrzewniły słowa Maryana.

— Nad czem pan przez ten czas pracował? — natychmiast wszakże zapytała, skwapliwie odwracając jego uwagę w inną stronę.

— Pisałem dramat i piszę, i będę go tak wykuwał i ciosał, aby stanął arcydziełem — odparł Hubicz z zapałem człowieka, który wierzy w moc swego natchnienia i chęci, i od pierwszej chwili powzięcia pomysłu jest przekonanym, że genialna gwiazda wzeszła przyświecać na jego horyzoncie.

— A temat?

— Tajemnica!

— Ta...ak?... przed wszystkimi? — z chłodem urazy rzekła Ada.

— Nawet przed panią, do czasu! — podchwycił Maryan, gorącem, długiem wejrzeniem jakby prosząc, by przebaczyła.

— Zresztą ogólny zarys rzucić mogę — dodał po chwili, już ustępując.

— Nie, nie! Po co? jeśli panu zależy na tajemnicy.

— No nie tak bardzo. Dam szkic pobieżny — mówił Hubicz, widocznie do oporu wobec niej niezdolny.

— Więc słucha pani? Tło i postacie historyczne. Osią zaś wiekuisty dramat duszy i serca, dramat, który zawsze powtarzać się będzie, gdy człowiek stanie w tej kolizyi, że serce będzie się rwać między potężnem pragnieniem osobistego szczęścia, a ofiarą, jaką z siebie i życia dla innych złożyć trzeba.

— Nic w tem nowego — orzekła Ada.

— Uprzedzałem z góry. Ale czy pani się nie zastanawiała, że człowiek zawsze tylko może czuć przez pryzmat własnego „ja”? Można kochać ludzkość, ojczyznę, wielkie idee i pragnąć wszystkiego tylko dla innych, nie dla siebie. Ale się kocha, pragnie, ale się cierpi tylko przez to coś, co stwarza treść naszej duchowej istoty, co tak, a nie inaczej w nas myśli i czuje, przez własne „ja” — tłómaczył Hubicz porwany dowodzeniem.

— Dlatego to — mówił dalej, — ból, miłość, nienawiść, poświęcenie, od początku świata wcielają się niezmiennie w dzieła sztuki i literatury, bo istotnie są nieśmiertelnie powtarzającemi się drgnieniami duszy, które każdy rozumie i które wciąż się odradzają w jednostkach. Nowem może być tylko przedstawienie rzeczy, kształt, koloryt, intonacya, forma, stosownie do epoki i indywidualnego ustroju twórcy, lecz nie jądro samej treści.

— A walka w dramacie pana kończy się?

— Na pokonaniu samolubnych popędów na rzecz dobra innych, na wielkiej ofierze ze strony wielkiej duszy.

Ada lekceważąco kiwnęła ręką.

— To piękne zapewne, ale dobre tylko w książkach, w teoryi — odparła. — Gdyby tak działo się w życiu powszechnie, owe „wielkie dusze” stałyby się podścieliskiem przeznaczonem pod nogi małym i marnym do deptania. I świat w końcu święciłby tryumf moralnych karłów i liliputów, pysznej głupoty w spółce z nikczemnością.

Hubicz słuchał jej, żywo chodząc po pokoju, i potrząsał głową. Wreszcie stanął, szczupłe, wązkie ramiona podniósł w górę, jakby z potrzeby głębokiego dla piersi oddechu i spojrzał z wielkiem ożywieniem w rysach.

— Myli się pani, i bardzo myli! — powiedział.

— Pozornie może się wydawać, nie przeczę, że gdy oto człowiek szlachetny padł pod ciosami nikczemnych, lub ofiarę choćby dobrowolną poniósł, to i zginął. Ale to nieprawda! Posiew wszelkiego dobra na ziemi, to rosa, która ożywczemi soki ludzkość przesiąka i rozkwit w przyszłości gotuje, a samolubstwo jak posucha wszystkie zarody życia wypala, nic nie tworzy, zawsze w pył własne dzieła rozbija! Weźmy historyę, ogólne dzieje świata, patrzmy czem znaczą się epoki na powierzchni? Zawsze ogromem ducha jednostek, które umiały nowe drogi dobra i sprawiedliwości wskazywać. Dlaczegóż Chrystus uczynił największy przewrót i porwał za sobą miliony i zawsze będzie miliony ku sobie zwracać?

Bo oto nauka Jego jasną duszę człowieka wydobyła z ciemnego zwierzęcia; a jako zasadę rzuciła światu wszystko, co właśnie stanowi podstawę ogólnego rozwoju i szczęścia ludzkości, zawarte w tych dwu prostych słowach: równość — i miłość.

Ada kręciła głową, nie myśląc zaprzeczać, bo ją na to stać nie było, ale porając się widocznie z poglądami, które nie trafiały do jej przekonania.

Gdy też po chwili podjęła rozmowę, w dalszym ciągu broniła swoich zapatrywań, na samozachowawczym egoizmie opartych.

Ale Hubicz, dotknąwszy w tem, co wypowiedział strun bardzo czułych dla własnej duszy, i podniecony jak człowiek istotnie w twórczym nastroju nerwów i umysłu, był tak wymownym i niewyczerpanym w dowodzeniach, że ciągle brał górę; co nie przeszkadzało mu dalej po pokoju biegać i ręką przesuwać po czole i włosach.

Słowa zaś jego nie padały całkiem na marne, bez oddźwięku.

Felicya bowiem słuchała go z takiem przejęciem, że w jej siwych oczkach i połamanych rysach ocknęło się ożywienie, które piętnem duszy uszlachetniło nawet te kształty zmięte i niedoskonałe. Usta — jedyny szczegół w jej twarzy świeżością przypominający młodość przedwcześnie zwarzoną — te usta, zwykle zamknięte, poruszały się, jakby chcąc przemówić, czy pytać. Ale nieśmiałość wzięła górę. Milczała.

Po pewnym jednak czasie otrząsnęła się z zasłuchania i wyciągnęła z kieszonki wcale nie wykwintny srebrny zegarek. Popatrzyła długo, jakby chcąc koniecznie co innego wyliczyć na cyferblacie niż to, co wskazówki podawały, i westchnąwszy powstała.

— Idziesz? — zapytała Ada.

— Muszę, bo mam korepetycyę o wpół do dziewiątej.

Ada przez grzeczność posunęła się za nią.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Kongres Feministek.

(Ciąg dalszy).

Na dzisiejszem zebraniu popołudniowem odznaczył się delegowany studentów socyalistów odcienia kollektywistycznego niejaki Jan Melia. Zaczyna on od podziękowania za honor przypuszczenia do obrad, korporacyi studentów reprezentowanej tym razem przez jego osobę, ale wprędce naraża się zgromadzeniu, zwiastuje bowiem kobiecie oswobodzenie przez mężczyznę — nb. mężczyznę, który potrafi znieść klassy i przywileje. Zgromadzone, które myślą tego dokonać własnemi siłami, czują się urażone, wielka liczba protestuje przeciw takiemu uzurpowanemu prawu protekcyi, zaczyna się szemranie, na które mówca wcale zważać nie myśli i dowodzi w dalszym ciągu, jako emancypacya zupełna kobiety spełnić się może tylko na polu walki stanowej.

Wrzawa wzrasta, dzwonek prezydyalny daremnie się wysila, bo mówca uwziął się odśpiewać wszystkie swoje kuranty, a zebrane feministki, które nie wiedzieć czego spodziewały się usłyszeć od tych panów, czują się zawiedzione. Wreszcie prezydująca zdobywa sobie głos i zapytuje oratora:

— Panie, przyszedłeś jak się zdaje tutaj w zamiarze podziękowania. Czy to ma być owo podziękowanie z pańskiej strony?

Pan Melia nie widzi potrzeby odpowiadania na to pytanie, natomiast z flegmą, która do rozpaczy doprowadza założycielki nowego kościoła, jak je nazywa pani Loevy, mówi sobie dalej:

— Do niczego nie dojdzie kobieta, solidaryzując się z dążeniami tego kongresu. Jak widzę jest to tylko manewr zmierzający do oszukania kobiety ludu — manewr ściągający pracownicę do zgromadzenia, które pod pokrywką uczuć humanitarnych idzie sobie do celów mieszczańskich przy pomocy mieszczańskich środków.

Prezydująca nie wie co robić, wrzawa wzrasta, niejakiej pani Vincent socyalistce udaje się dobić do głosu i prosić obywatela kollektywistę, aby nie ranił uczuć zgromadzenia, ale kollektywista ani myśli słuchać; jego pozytywka nie wygrała wszystkich kawałków, a że ma silne postanowienie podzielić się tem co dla dobra ludzkości wysmażył on i jemu podobni, przeto z niezachwianym spokojem mówi dalej:

— Nie przychodzimy tu z uczuciami nieprzyjaznemi, ale zmuszony jestem powiedzieć, że najlepiej byłoby, aby się zgromadzenie przyłączyło do robotnic...

Śmiech szalony tłumi resztę, kollektywista tym razem jest zdekoncertowany i proponuje, aby socyusz jego Gustaw Sicot wyłożył przystępnie zgromadzonym to wszystko, co z doktryny kollektywistycznej pozostało niedośpiewanem. Prezydująca ani chce wiedzieć o tem, powiada że ustąpiła tylko swego głosu, ale tym razem zamierza zabrać ten głos — jakoż zabiera, i zaczyna czytać przygotowaną rozprawę, w której mieścić się ma wszystko, co obchodzi kobietę współczesną. Wedle mówczyni postęp zrobił coś istotnie, ale to coś jest bardzo niedostateczne, bo kobieta jak była tak jest jeszcze nieletnią wobec prawa, a co najważniejsza, że w polityce jest ona zerem zupełnem, a tymczasem konieczność jej pracy na tem polu coraz widoczniejsza. Żąda dla siostr swoich prawa poszukiwania ojcowstwa i zupełnie innych praw obywatelskich, nad których ułożeniem pracuje już stowarzyszenie feministek.

Wielkie uznanie. Studenci manifestują swoje niezadowolenie zapaleniem cygar. Panna Bonnevial protestuje przeciw takiemu nadużyciu. Studenci rzucają cygara, ale za to uporczywie przeszkadzają odtąd obradom.

Następnie p. Kathe Schirmacher, laureatka Sorbony, wywołuje mową swoją burzę oklasków. Humor i prawdziwa elokwencya złożyły się na to wielkie powodzenie; w końcu wzywa mówczyni wszystkie kobiety, aby się łączyły dla zdobycia praw opartych na słuszności i prawdzie.

P. Juliusz Bois, literat, poeta i konferencyonista daje słuchaczom obraz kobiety przyszłości — kobiety uświadomionej. Dotąd mężczyzna uzurpował sobie wszystkie prawa, dotąd żądano od kobiety dwóch tylko przymiotów: aby była powabna i aby była ograniczona.

Oprócz studentów klaszczą wszyscy (z powodu zapewne, że ograniczonych już dzisiaj nie ma).

Mówca cytuje kobiety przyszłości między cudzoziemkami jako przykłady godne naśladowania. Oto one: Sarah Grand, Oliva Schredner, Szeliga-Loevy, Eliza Orzeszkowa.

Studenci wołają: nie znamy! Panie odpowiadają: nie macie się czem chwalić!

Mówca kończy wykrzyknikiem: „Społeczność nowa będzie feministyczną, albo nie będzie wcale nową.”

Jakoś nie łatwo zrozumieć co to ma znaczyć, jak to może przedstawiać się taka przyszłość, ale ponieważ to nie pierwsza łamigłówka, więc nie ma co się nad nią zatrzymywać dłużej.

Następnie przemawia pani Paulina Minck, po niej deputowany Lavy, a nareszcie przychodzi do słowa obywatelka Leonia Rouzade, której mąż dotąd się nie odnalazł, a która za niego i za siebie, jak widać, produkuje się z taką dozą niedorzeczności, wypowiedzianych nadto bez związku żadnego, że aż sprawozdanie nazywa je: nie do powtórzenia. Kończy swoją mowę wnioskiem ażeby macierzyństwo jako naczelna funkcya społeczna było subwencyonowanem przez państwo.

Rozumie się, że jej to w gronie feministek bezkarnie przejść nie mogło. Pierwsza pani Marya Hult antivivisekcyonistka, siedząca na ławie dziennikarskiej woła z oburzeniem:

— To tak? To my mamy być dostarczycielkami mięsa dla armat? Fi!

Zgromadzenie podziela uczucie antivivisekcyonistki i na tem kończy się posiedzenie.

Następna sesya traktuje przedmiot bardzo drażliwy, który my w sprawozdaniu naszem pominąć prawie zupełnie będziemy musieli. Idzie kongresowi o miłość, a że nie po to zebrały się te panie, aby sankcyonować stare przesądy i ścieśnienia, a przeciwnie, aby kobietę przyszłości wyzwolić ile się tylko da, a choćby i więcej trochę, przeto można sobie wystawić jak to tam ukrzyżowano dawną moralność, jakie sofizmaty wywłóczono ku poparciu wywodów, które o tyle były więcej warte dla pań feministek o ile były śmielsze i niedorzeczniejsze. Przemawiały panie: Grandpré i Loevy a nakoniec zabrał się po swojemu do tego tematu nieoceniony p. Robin, który aż do końca odgrywa rolę enfant terrible tego feministycznego zgromadzenia. W gruncie rzeczy zgadzają się z nim te panie z największą pewnością, jak to widać ze wszystkiego, ale on ma taki brzydki, taki brutalny sposób ekspozycyi przedmiotu. Mówiąc o stosunku przyzwoitości do moralności, wyraża się tak: nie może być nieprzyzwoitem to co jest moralnem w zasadzie, głosi konieczność pozbycia się więzów, obsłon i ścieśnień wszelkich, ale że to u niego wychodzi wielce cynicznie, więc pani Leger uznaje za właściwe wejść po nim na trybunę i zrobić małą dywersyą przez wycieczkę w sfery idealniejsze. Mówczyni usiłuje traktować miłość jako związek dwóch dusz. Nie idzie jej z pewnością o to wcale, ani jej ani zgromadzeniu, które przecież od początku o duszy słyszeć nawet nie chce, ale większość oklaskuje oratorkę i zgadza się na to określenie, które do reszty treści obrad w istocie przylepić się nie daje.

Niechajże sobie tedy dla innocentek wyjdzie miłość z kongresu feministycznego pod tą etykietą, jakkolwiek dobrze rozumie świat co ma o tem trzymać, a gdyby nie wiedział, to mamy nadzieję, że mu panie feministki przed końcem kongresu powiedzą same dobitniej jeszcze.

Obie sesye dnia następnego ranną i wieczorną wypełniły sobą robotnice.

Rozpoczyna posiedzenie p. Lefevre sekretarz syndykatu drukarzy, który odrazu deklaruje, iż jest antifeministą i stawia kobietę dzisiejszą w stanie oskarżenia o to, że ona właśnie obniżyła zarobki mężczyzny.

Damy starają się odeprzeć zarzut, mówca wywodzi coraz nowe argumenty, a że mówi długo, więc p. Robin, któremu także pilno na mównicę powiada głośno, że nieprzyzwoitością jest wejść na trybunę i nie myśleć o zejściu.

Zgromadzenie, które zapamiętało wczorajszą definicyę nieprzyzwoitości postawioną przez pana Robin wybucha śmiechem.

Ostateczną replikę p. Lefevre daje niby pani Pognon, która winą obniżenia zarobków obarcza konsumenta, chcącego zawsze nabywać artykuły wyprodukowane po cenach niemożebnie nizkich. Ze swojej strony stawia mówczyni wniosek, aby w każdej gminie wyznaczyć minimum wynagrodzenia dla mężczyzny i dla kobiety a to stosownie do panujących tam cen przedmiotów koniecznej potrzeby. Zgromadzenie zamienia ten wniosek na uchwałę kongresu ku wielkiemu zdumieniu męzkiej części uczestników, bo jak na prawodawczynie, zdradziły tym razem panie feministki radykalną nieznajomość konjunktur podaży i popytu, praw konkurencyjnych, granicy między żądaniami, możebnemi i niemożebnemi, wreszcie nieznajomość a b c tego wszystkiego co człowiek publiczny na kilkanaście lat przed wejściem na trybunę rozumieć powinien koniecznie. No, ale ponieważ przybyła tym sposobem jedna uchwała więcej, więc zgromadzenie czuje się zadowolonem.

Pani Wissighof nawołuje zgromadzone o przyjmowanie do swego grona robotnic, a pani Loevy składa na stole skargę 15-tu tysięcy pracownic magazynowych, które pracują dziennie po 16 godzin.

Ponieważ za temi robotnicami wnoszą instancye wszyscy, występuje i miss Broen ta filantropka z Belleville o której wspominaliśmy, i w imieniu robotnic, wśród których żyje, dopomina się o święcenie niedzieli. Niechaj te wydziedziczone, jak je nazywa, mają jeden dzień, w którym wolno by im było żyć w rodzinie i pokrzepić się duchem.

Wyraz „święcenie,” którego użyła nieopatrznie ta szlachetna kobieta, zapomniawszy wyraźnie gdzie się znajduje, obraża zmysł moralny (?) większości zgromadzenia. Pp. Bonneville i Pognon protestują. Oczewiście dzień 6-ty powinien być dniem wypoczynku, ale *święcenie tego* dnia? Nie! Za nic!

Nawet do wotowania nie doszedł wniosek panny Broen, a finalnie popisał się i z tej okazyi jeszcze p. Robin w taki sposób, że zdekoncertowana filantropka opuściła trybunę ze słowami: Co do mnie nie waham się powiedzieć, że wierzę w Boga.

Tu przerywa jej ośmielony uznaniem zgromadzenia p. Robin wykrzyknikiem:

— Jeżeli ten Pan Bóg jest, niechaj nam się pokaże tutaj.

Panie feministki zaczynają rozumieć, że je sprzymierzeniec skompromitował. Są niby troszeczkę skonsternowane tym wybrykiem idyotycznym, ale trudno! „Qui veut la fin—veut les moyens.”

Na sesyi popołudniowej pani Pognon ma utarczkę ze studentami kollektywistami, którzy ciągle przejeżdżają wpoprzek obradującym tą swoją kobietą z ludu — robotnicą jednem słowem. P. Pognon poucza tych demagogów niepoprawnych, że tu nie ma ani jednej kobiety, któraby nie była pracownicą, a jeżeli nie widać między obradującemi tamtych, za któremi wstawiają się panowie kollektywiści, to dlatego jedynie, że brak im do tego wolnego czasu zapewne. W przyszłości inaczej może ułożą się warunki, ale prowizorycznie walczyć o prawa kobiece może tylko burżoazya. Gdy ta zwycięży, otrzymają i tamte czego pożądają.

Praw potrzeba ludzkości dopóty, dopóki człowiek nie zrozumie sam praw należnych drugiemu człowiekowi. Waszym obowiązkiem panowie, jest dowieść do jakiego stopnia godnymi jesteście dobrodziejstw, które dla was rezerwuje przyszła społeczność. (A to humorystyka dopiero!)

Studenci zażyci z góry kapitulują potrochu, a to przekonywa że w swoim nawet rodzaju, krzykacze ci nie są tężyzną żadną, skoro się takimi płyciuteńkimi frazesami uczuli przyciśnięci do ściany.

Zjawia się też nie wiedzieć jakim sposobem biedna Armenka, która chce wzruszyć kongres opowiadaniem o nieszczęściach swojego kraju. Po co przyszła tutaj? Za jaką potęgę bierze to zgromadzenie? Kto jej nieszczęśliwej powiedział, że tu współczucie się znajdzie się dla takich jak ona.

Tymczasem na porządek dzienny wchodzi sprawa pokoju powszechnego.

Pani Potonié żąda pokoju powszechnego i neutralizacyi Alzacyi i Lotaryngii. Ostatnie żądanie staje się iskrą na prochy.

Większość szowinistyczną jest na tyle, że ani chce słyszeć o neutralizacyi; Alzacya i Lotaryngia muszą być francuzkie.

Wzburzenie niesłychane, bo co to z takiemi patryotkami, to żartów nie ma żadnych. Prezydująca oświadcza tedy, że drugiego wniosku nie poddaje pod głosowanie. Idzie na wota kwestya powszechnego pokoju i przechodzi jednomyślnie. Boki zrywać można tam było doprawdy!

Skoro tedy tanim względnie kosztem załatwiono się z tak niezmiernemi trudnościami jak sprawa, której podołać nie mogą wszystkie razem wzięte rządy i parlamenty Europy, przystąpiono lżejszem już sercem do takiej bagatelki jaką jest wychowanie.

(Dokończenie nastąpi).

Helena Ceysinger.

MOJE LILIE.

KARTKA Z PAMIĘTNIKA.

...Coraz piękniej ą mi pod pędzlem, coraz bielsze i czystsze, coraz podobniejsze do nich. I to źródło coraz bardziej kryształowe, coraz wyraźniej odbija je w sobie. Rosną na tle lasów, na tle ciemnej zieleni, pośród paproci i mchów, i ku wodzie kryształowej chylą srebrzyste kielichy. Gdy pokażę je ludziom, będą śnili o nich jak o ideale czystości, ale nie będą wiedzieli, kto one... lilie moje!

. . . .

Jakiż szalony orkan złych chęci wrzał wówczas w duszy mojej, jakże pilno mi było umoczyć usta w czarze z zatrutym napojem, i napić się, napić wszystkich mętów życia! Jakże pilno mi było odrzucić od siebie wszystkie wspomnienia dzieciństwa: łagodne uśmiechy matki, sióstr pieszczoty niewinne, pogodne zachody słońca, w których ciszy rodziły się pierwsze marzenia, i pierwszą łzę bratniego współczucia i pierwszy poryw zapału—wszystkie świętości odrzucić precz od siebie! Jakże pilno mi było rozebrać się ze złotej tkanki złudzeń, i pogrążyć w błotnej kałuży użycia! W tej chwili one stanęły na mojej drodze, stanęły białe, czyste... lilie moje!

Pamiętam, był to schyłek ciepłego, wiosennego dnia. Przyszedłem odwiedzić kolegę, towarzysza pierwszych moich swawoli. Doświadczeńszy odemnie, on był mi przewodnikiem po drożynach zepsucia.

— Idziemy, wiesz...—zawołał witając mnie,— ale poczekaj tu u mnie z godzinkę. Muszę wpierw odprowadzić siostry, które wybierają się na wesele.

I wyszedł, zostawiając za sobą drzwi otwarte. Spojrzałem przed siebie. W pokoju, w którym znajdowałem się, panował zmrok, za to do tamtego po drugiej stronie domu wpadały ostatnie promienie zachodzącego słońca, i pełen był światła, a w świetle tem stały dwie wysmukłe postacie dziewczęce, obydwie ubrane biało.

Może one zresztą ubrane były inaczej, ale mnie wydały się białe. I taka była czystość linii, któremi rysowały się na świetlistem tle powietrza, taki wdzięk, słodycz, cisza i tajemnica w twarzyczkach tych bardzo bladych i bardzo podobnych do siebie, że stanąłem zadumany przed tem zjawiskiem szczególnem, a usta mimowolnym szeptem wymówiły wyraz „lilie.” I wpadłem niby w sen dziwny. Zdawało mi się, żem ja gdzieś, kiedyś w pierwszych latach życia znał już te lilie, że rosły na jakimś grobie, i kto chciał dotknąć je, musiał znieważyć mogiłę. Jedna z nich była wyższa, wynioślejsza, biała, białością niepokalaną, surową, druga wiotsza chyliła się lekko ku ziemi, i białość jej wpadała w jakieś tony różowawe. Może różowiły ją promienie zachodzącego słońca. Zapominam się, mówię o nich, jak o kwiatach, ale bo też one kwiatem mistycznym wyrosły wtedy na drodze mego życia. Jak długo patrzyłem na nie upojony tajemniczym urokiem, co wydzielał się z ich dziewiczych postaci, nie wiem, może chwilę tylko, może bardzo długo, bom ja przez ten czas prześnił całe długie sny, bo się w duszy mojej otworzyły jakieś głębie nieznane mi dotąd, bom ja się w owej chwili na śmierć i życie zakochał we wszystkiem, co czyste i białe. I pytałem siebie, co to za róża, której te lilie dwie za drużki służyć mają, i gdzie ogród, w którym te srebrzyste zakwitły? A potem przypomniałem mogiłę, nad którą niegdyś w półsennych widzeniach dziecinnych ujrzałem je schylone, i w świat fantazyj, świat marzeń bez końca płynąłem... Z resztą myśli moich, uczuć doznawanych wówczas nie pamiętam, pozostało mi tylko wrażenie ogólne nastroju tak niezwykłego, ekstazy tak potężnej, w jaką chyba po raz drugi w życiu nie pogrążyła się już dusza moja. Gdym się z zadumy obudził, słońce zaszło już, w małym dworku podmiejskim panował zmrok i cisza. Wysunąłem się z mieszkania kolegi, nie chciałem czekać na powrót jego, nie chciałem widzieć go dzisiaj. I nie zobaczyłem już więcej tego współtowarzysza nizkich, występnych uciech. Fala życia wzburzona odniosła mnie daleko od wybrzeży, na których ukazały się mym oczom dwa białe, przeczyste kwiaty.

I odtąd różnemi barwy malowałem życie moje. Złożyły się nań i blada zieleń złudzeń i błękit zachwytów i kir żałoby i purpura namiętności gwałtownych. Poznałem rozpacze, gniewy, nienawiści, upadki ducha i niemoc i ból; wszystko znalazło się w mem życiu, tylko brudu w niem nie było. Do czary zatrutej, która nęciła mnie w młodości, nie przytknąłem ust. A ile razy na drodze stanęła mi pokusa, z głębin pamięci podnosiły się cicho dwa kwiaty srebrzyste, i w czystości ich nieziemskiej rozkochany, ze wstrętem odwracałem oczy od bagnistych trzęsawisk życia. A gdy fałsz, brud, obłuda otoczyły mnie dokoła obydnym pierścieniem, na świat zewnętrzny zamykałem oczy, a myśl moja leciała w ustroń pełną świeżości i woni, gdzie pochylone ku sobie wyrastały z jednej łodygi dwa kwiaty białe, dwie lilie tajemnicze. I zawsze tak samo jak wtedy jedna stała wyprostowana surowa biała, druga pochylała się lekko ku ziemi, a płatki jej srebrzyste zachodziła jakaś mgła różowawa. I lubiłem marzyć, że ta różowość jest w niej litością nad złem, i że mogłaby przejść w czerwień gorącą, w purpurę krwi żywej. I kochałem szczególnie ten wiotki srebrno-różowy kwiat.

I zdawało mi się, że gdybym kiedy w przepaść ziemskiego błota się pogrążył, to i one straciłyby przeczystą białość swoją, skurczyłyby się ich kielichy, pożółkły, zczerniały płatki srebrzyste, że uwiędłyby na zawsze jasne przewodniczki mej młodości. O kwiaty marzeń, o białe lilie moje!

I teraz, gdy szałem namiętności spalony po walce bratobójczej, z kulą w piersi padłem na łoże szpitalne, wyście zjawiły się znowu tak samo czyste, białe jak przed laty tylko smutniejsze, i jakby mgłami owiane. W snach gorączkowych widywałem was chylące się nad źródłem, jasnem, przejrzystem aż do dna; pozwalałyście bym usta spieczone chłodził kryształem, który opływał wam stopy. Jednej nocy okropnej, zaludnionej tłumem widziadeł, gdy płomienie potępieńcze ogarniały mnie ze wszech stron, gdy rwała się naprężona nić mego żywota, stanęłyście przedemną białe, ciche, święte. I widziałem, jak z waszych kielichów wystąpiły duchy lekkie, powietrzne, przejrzyste, i odpędziły płomienie, co sycząc, wyciągały się ku mnie. A potem przyszły ochłodzić czoło zabójcy. Dotknięcie ich było jak dotknięcie listków kwiatu, woń liliową poczułem dokoła, i już byłem spokojny.

Gdy raz pierwszy na świat przytomnym wzrokiem spojrzałem, chyliły się nademną dwie wysmukłe postacie niewieście w strojach zakonnych. Poznałem je, to były one, tamte dwie drużki weselne, dwa kwiaty, dwie lilie czyste.

Jak niegdyś cisza i tajemnica leżała im na twarzach bladych, rozświetlonych jakiemś światłem, z głębin ducha płynącem. Po tej światłości poznałem je. I była jedna surowa, niepokalana, druga miłością tchnąca, takie, jakiemi marzyłem je we snach. Osłabionemu, wracającemu zaledwo do życia, wydały się w tej chwili widzeniem niebieskiem. Myślą modliłem się do nich, by wziąwszy mnie na skrzydła anielskie, zaniosły w błękit, w przestwory bez końca, w krainę cichą, świetlaną...

. . . .

A teraz duchy-kwiaty, dajcie mi siłę natchnienia. Objawcie mi się we wdzięku linii, w srebrzystej białości barw, w mistycznej potędze wyrazu. Pokażę was ludziom, a oni marzyć będą o was jak o ideale czystości, ale nie będą wiedzieli, kto wy jesteście... lilie moje!

. . . .



Odstępca. Komedya w 3 aktach Stanisława Graybnera.

W świat przywileju — w świat koron, mitr i wszelkich tego rodzaju świetności i blasków prowadzi tym razem widza autor komedyi. Ponieważ wolno nam przypuszczać, że pilno czytelnikowi do tej krainy czarów, więc bez uprzedniego ostrzegania, co tutaj spotka: prawdę życiową podpatrzoną, blizkie prawdopodobieństwo mogące dać pewne złudzenie rzeczywistości, wreszcie decepcyę częściową albo zupełną—bez wszelkich tego rodzaju wstępów i objaśnień, opowiemy odrazu

kto jest dezerterem, z pod jakiego zbiega sztandaru, i co jest pokusą dla tego odstępcy, którego tak szpetnem mianem piętnuje odrazu autor w tytule sztuki. Raczcież cierpliwie posłuchać czytelniczki:

Hrabina Zamirska ma syna Juliusza, z którym bardzo bliskiej znajomości zabierać nie potrzebujemy i córkę Łucyę, młodą owdowiałą księżnę, o którą chodzi nam bardzo. Brat pani Zamirskiej hrabia Wieloborski radby z tą księżną ożenić synowca swego Jerzego, dla którego ku większej chwale rodu Wieloborskich ufundować zamierza majorat. Jakby się hrabiemu powiodło z majoratem, przesądzać nie śmiemy, ale co do skojarzania tych dwojga kandydatów do umiarkowanej małżeńskiej szczęśliwości, na wielkie trudności natrafićby nie powinien, ze względu, że przecież obowiązujące w tej sferze pojęcia nakazują się zapatrywać na małżeństwo jako na połączenie w jedno dwóch tarcz, dwóch fortun i dwóch splendorów rodzinnych. Zobaczmyż tedy, jakie są widoki ziszczenia się tych nadziei.

Hrabina Zamirska w tym właśnie czasie poszukuje lektorki i na to stanowisko przysyłają jej niejaką pannę Zofię, sierotę, piękną rozumie się niesłychanie, cnotliwą ponad wszelkie pokusy i zamachy, ale nieszczęśliwą, która opowiada o sobie, że jest szlachcianką, ubogą i sierotą, co jest prawdą zupełną, i że niema nikogo z blizkich, co jest prawdą zaledwie w połowie, posiada ona bowiem siostrę Aurelię, do której dobrze robi, że się nie przyznaje wcale, i opiekuna niejakiego Kalińskiego, dependenta od adwokata, do którego opieki przyznaćby się mogła śmiało, ze względu na bezinteresowność intencyj prawnego koncypienta.

Ta panna Zofia wprowadza za sobą cały szereg powikłań wielce skomplikowanych. Przyszły dziedzic majoratu hrabia Jerzy zna ją cokolwiek, raz bowiem w godzinie ciężkiej bardzo pożyczył jej, czy nie pożyczył, za pośrednictwem Kalińskiego 100 rubli, których ta biedaczka potrzebowała na pogrzeb matki, ale nadmienić wypada, że hrabia dając ten pieniądz, miał widoki niebardzo szlachetne, co na takiego hulakę jest tem prawdopodobniejsze, że z rodzoną siostrą jej, ową panną Aurelią, łączyły go dobre bardzo i zażyłe stosunki.

Hrabia Jerzy spotyka lektorkę u swojej ciotki hrabiny, nabawia go to spotkanie wielkiego kłopotu i zwierza się z tych utrapień swoich przed młodym Zamirskim, prawdopodobnie przez gadulstwo, bo istotnie niewiadomo dlaczego to robi, i jakiej się rady czy pomocy od tamtego spodziewa. Dowiaduje się i panna Aurelia, że siostra jest lektorką u hrabiny, i o tem, że wpadła ona w oko hrabiemu Jerzemu i o tem także, iż ten ostatni zamierza się żenić z księżną. Dlatego zakrada się do niej, namawia siostrę, aby się przeniosła do domu, chociaż doprawdy niepodobna odgadnąć na co liczy, znając ostygły dla siebie, a wrastający dla siostry afekt tego lowelasa. Gdy jej się to nie powodzi, uwiadamia hrabinę listem bezimiennym, jaką ma ona w domu swoim zaporę dla przyszłego związku córki, z czego oczywiście wybucha wielki konflikt między rodziną arystokratyczną, a nieszczęśliwą lektorką. Jerzy nie wie jak się z tej biedy wyplątać i nie mogąc sobie wyraźnie w żaden już inny sposób poradzić, zwierza się przed jedyną właśnie osobą, przed którą należałoby zachować tajemnicę, jeśli mu wogóle cokolwiek na projektowanem małżeństwie zależy—przed księżną wdową jednem słowem.

Najniespodzianiej ze strony, z której wolno mu się było w takim składzie rzeczy spodziewać pogardliwego odtrącenia, szyderczej obojętności, albo innej jakiej w tym guście odprawy, przychodzi Jerzemu rada zbawienna, która o włos że nie przekracza granic etyki, dla takiego jak on venividiviciusza dostępnej. Ta idealna księżna powiada narzeczonemu, że najlepiej pono byłoby ożenić się z Zofią, Jerzy, któremu myśl taka w głowie nawet nie postała, jest tą insynuacyą zachwycony, a i publiczność nic nie może mieć przeciwko temu, bo księżna nie robi ofiary żadnej. Jej heroizm jest z gatunku najtańszych, ze względu że ją osoba narzeczonego wcale a wcale nie obchodzi, jednem słowem ta szlachetna kobieta robi dar z przedmiotu, do którego nie przywiązuje wartości.

Reszta rodziny składa tymczasem radę familijną, w której przyjmuje udział hrabina Zamirska, jej syn Juliusz i fundator majoratu wujaszek Wieloborski i postanawiają oni wszelkim sposobem, wbrew woli nawet księżnej bohaterki, rozdzielić te dwa serca i nie dopuścić do sromotnego mezaliansu. Wynajdują dla Zofii nawet męża naprędce, co im przychodzi bez wielkiego zachodu, bo mają pod ręką pieczeniarza domowego—liche bardzo osobistość—niejakiego pana Zabrodę, który gotów zupełnie do tej i wszelkiej innej nawet roli, byle się nie sprzeciwić swoim pieczeniodawcom. Zofii osobiste poczucie godności nakazuje stawić czoło rodzinie, ale z drugiej strony szlachetna abnegacya księżnej budzi w niej skrupuły sumienia, i postawiona wobec natarczywego adoratora, sama robi mu przedstawienia, azali godzi się złą sławą jej siostry plamić nieskalane gniazdo Wieloborskich. Nic nie skutkują wszelkie perswazye i przełożenia, hrabia Jerzy zrzeka się majoratu, nie straszy go mezalians i ostatecznie zaślubia Zofię, aby gdzieś założyć nową odrośl swego rodu—nietylko godną wszystkich poprzednich, ale o ile on się spodziewa, i księżna także—godniejszą nawet, czego mu zresztą widzowie i czytelnicy z serca życzyć mają obowiązek.

Cóż wam czytelniczki powiemy o sztuce całej? Gdybyśmy wiedzieli precyzyjniej, kiedy się to wszystko dzieje, odpowiedź byłaby o wiele łatwiejszą, ale my nie wiemy—my się nawet domyślać nie chcemy. Jeśli to ma być coś współczesnego nam zupełnie, to wyznamy, że nie grzeszy prawdą życiową postać mężczyzny, który oderwany od dzisiejszej orgii życia, leczy się i uzdrawia tak szybko a radykalnie miłością dla jednego jakiegoś nieznanego dziewczęcia. Może być, że to i bywało tak niegdyś, ale my tego nie widzimy dokoła siebie, a że do błogosławionych, którzy nie widząc wierzyli, nie liczymy się, więc i na hrabiego Jerzego patrzymy się, jak na postać spadłą z obłoków. W naszych czasach od takiej biesiady wstaje człowiek zgranym aż do ostatniego talara, i aż do ostatniego ludzkiego uczucia.

Tak samo rzecz ma się z pojęciem takiem jak mezalians, gdy idzie o nasze czasy i o naszych ludzi. Mezalians to jest sobie takie słówko, które należy do języka umarłych. Osnuć sztukę na tem słówku, które jest brzmieniem pustem i bez znaczenia, którego nie pojmie arystokrata ze swego, a demokrata ze swego punktu zapatrywania, jest ryzykowną bardzo rzeczą.

„Iżbym przezacnych rzeczypospolitej rodów miał sępić lustry, dalekim mię od tej professyi mojej obligacya oświadcza”—powiada nasz stary heraldyk. I my z głębi serca radzibyśmy za nim tę wielce foremną deklaracyę powtórzyć, ale cóż z tego, że nam na chęciach dobrych nie zbywa, kiedy nam brutalna rzeczywistość nie pozwala na tę satysfakcyę.

Wszak ci to one lustry tylu się w ostatnich czasach zasępiły jarmułkami, że ich posiadacze do opowiadań o mezaliansach zupełnie utracili prawo. A gdy tak a nie inaczej mają się te sprawy, dajmy nareszcie pokój przypominaniu w sztuce o tych mezaliansach, które w życiu istnieć przestały.

A. S.

Karol Dickens.

CZARNA ZASŁONA.

(Dokończenie.)

— Proszę, zechciej pan wejść; dłużej jak pięć minut pozostawać tu nie będziesz.

Doktór wszedł krokiem pewnym, zamknięto za nim drzwi—pozostał sam i zaczął się rozglądać w swojem otoczeniu. Pokój za całe umeblowanie miał dwa krzesła i stół z białego drzewa, kilka węgli tliło się na kominku, a wilgoć pozostawiła ściekające po ścianach smugi pionowe. Okno, w którem większość szyb wybitych połatana była papierem, wychodziło na małe podwóreczko prawie zupełnie zalane wodą, zresztą żadnego śladu życia ani zewnątrz domu, ani w domu samym. Przybyły zaniepokojony tem, co zastał w tej pustce, usiadł oczekując oględzin, dla których go sprowadzono.

Po kilku minutach ucho jego pochwyciło turkot wozu, który zatrzymał się przed domem. Słychać było otwieranie drzwi wychodzących na ulicę, potem szmer głosów pomieszanych w głębi korytarza i na schodach, a jeszcze później ciężki chód kilku ludzi, którzy wyraźnie wnosili ciężki jakiś przedmiot do pokoju położonego na piętrze. Słyszał, jak ci ludzie schodzili z powrotem, tak jak gdyby spełnili to, co do nich należało. Zamknięto za nimi drzwi wchodowe i wszystko zapadło znowu w dawną martwotę, która trwać mogła tym razem pięć minut mniej więcej. Właśnie doktor zaczął się oglądać za kimkolwiek, aby mu powiedzieć, że czeka już zbyt długo, gdy drzwi otwarły się raptownie i nieznajoma z poprzedniej nocy dała znak ręką, aby szedł za nią na górę.

Ubraną była zupełnie tak jak dnia poprzedniego i ta sama zasłona czarna zakrywała jej twarz. Była chwila, w której przyszła doktorowi wątpliwość, azali ta milcząca surowa postać kobieca nie ukrywa przypadkiem mężczyzny. Ale gdy usłyszał pod zasłoną tłumione bolesne łkania, gdy spojrzał na tę postawę, wyrażającą boleść aż nadto widoczną w każdem poruszeniu, porzucił podejrzenia niedorzeczne i szedł w pośpiechu, gdzie mu wskazywano.

Poprowadzono go po wschodach na górę, a przededrzwiami ustąpiono miejsca, aby wszedł pierwszy.

Pokój, w którym się znalazł teraz doktor, mieścił kilka krzeseł, stary jakiś kufer drewniany i łóżko żelazne, pokryte kołdrą zszywaną ze skrawków, jakie się spotyka w niektórych domach Anglii. Słabe oświetlenie izdebki, tłumione jeszcze przez zapuszczenie owej żółtej firanki, którą przybyły zauważył z ulicy, nadawało tutaj przed

miotom taki charakter jednostajnej tożsamości, że przybyły nie spostrzegł nawet zrazu kształtów, które wtedy dopiero przykuły do siebie całą jego uwagę, gdy kobieta towarzysząca mu, niby w szale jakimś rzuciła się na kolana przy łóżku.

Tam, na posłaniu, pod pokryciem prześcieradła i kapy spoczywały jakieś kształty ludzkie sztywne i nieruchome. Głowa i twarz były odkryte, a opaska okrywająca szyję związana w węzeł na wierzchu głowy; zresztą oczy zamknięte, lewa ręka zwieszona bezwładnie na kapie łóżka dopełniały obrazu. Kobieta chwyciła tę dłoń i okrywała ją pocałunkami.

Doktor odsunął zlekka klęczącą i ujął rękę, szukając tętna.

— Ależ ten człowiek umarł—wybełkotał pomięszany, upuszczając ramię, które opadło na łóżko bezwładnie.

— Oh! nie mów pan tego, nie mów jeśli masz odrobinę litości w sercu—wołała w przystępie obłędu zupełnego nieszczęśliwa.—Ja nie mogę znieść tej myśli. Przecież tylu powróciło z progu samego śmierci i wtedy nawet, gdy ich ludzie uznali już za nieżyjących. Byli i tacy, którzy pomarli z braku pomocy, podczas gdy w porę jeszcze można ich było przywrócić do życia przez starania umiejętne. Tyle przecież czytałam o tem; nie dajże pan i jemu umrzeć bez wypróbowania jakichś środków. Może w tej chwili właśnie ostatnia iskierka życia tli jeszcze w sercu. Spróbuj go ożywić panie, spróbuj, ulituj się. Bądź miłosiernym! Ach, mój Boże, alež pan nic nie robisz...

Tak mówiąc ciągle, usiłowała pocałunkami wzniecić życie w głowie i piersi zmarłego; rozcierała w swoich dłoniach te ręce sine i zmartwiałe.

— Nieszczęśliwa kobieto, wszystko co robisz, jest bezużytecznem—przemówił doktor, usuwając łagodnie jej rękę, która daremnie starała się doszukać uderzeń serca w tem ciele nieruchomem.

— Odwagi—perswadował lekarz—zresztą pozwól mi pani odsłonić firankę.

— Nie potrzeba!—zawołała, stając nagle między nim a oknem.

— Podnieś pani zasłonę—odezwał się teraz doktór głosem rozkazującym.

— Nie! Za nic w świecie tego nie zrobię, Opuściłam ją przecież z rozmysłem zupełnym.

I protestowała dalej gestem i słowem z całą stanowczością.

— Ach panie—zaczęła znowu schodząc do tonu prośby pokornej—bądźże litościwym dla mnie. Jeżeli wszystko stracone, jeśli już niema dla niego ratunku na tej ziemi, niechajże przynajmniej tego trupa nie oglądają żadne oczy prócz moich.

— Ten człowiek nie umarł śmiercią naturalną, ani dobrowolnie—mówił lekarz wzburzony—ja go muszę widzieć; obowiązkiem moim jest widzieć— i jednym ruchem szybkim posunął się ku oknu, wślad zatem zdzierając firankę, która wraz z drzewcem opadła na ziemię, a sam powrócił do łóżka i pochylił się nad tą martwą postacią.

— Ależ to jest niezaprzeczony wypadek śmierci gwałtownej—wołał doktor, spoglądając po raz pierwszy w twarz tej kobiety, z której opadła zasłona. Były to rysy osoby pięćdziesięcioletniej może, niegdyś pięknej bardzo, ale którą boleść i łzy naznaczyły piętnem o wiele jeszcze wyraźniejszem niż to, które czas zostawia na swoich ofiarach. Tę twarz pokrywała teraz bladość śmiertelna, a w oczach żarzył się blask gorączkowy— wymowny świadek cierpień duszy udręczonej do ostatnich granic.

— Tu był gwałt — mówił doktór. — To jest człowiek zamordowany.

— Tak jest, zamordowany — potwierdziła z rozpaczą. — Zamordowany okrutnie, nieludzko! Do sądu Boga sprawiedliwego zanoszę moją skargę o śmierć tego nieszczęśliwego!

— Ale kto mordercą? Bójże się pani Boga, kto mordercą?

— Zobacz pan te znaki na szyi, a będziesz wiedział tyle co ja sama.

Zwrócił się w rzeczy samej doktór do łóżka i zaczął wpatrywać się w szyję na której sine, opuchłe pręgi odrazu opowiadały wszystko, czego się dotąd domyśleć nie mógł, a raczej nie umiał.

— To jeden z tych ludzi, którzy dzisiaj powieszeni zostali ręką kata — przemówił nareszcie stłumionym głosem lekarz, odsuwając się z dreszczem od łóżka.

— No, więc teraz wiesz pan już tę prawdę, której tak byłeś ciekawym — powiedziała kobieta z dzikim przebłyskiem w oczach, który oznajmiał, że poprzedza on na krótko tylko zupełny rozstrój umysłowy.

— Kto jest ten człowiek?

— To mój syn — krzyknęła głosem strasznym, w którym był i ból nieludzki i wstyd nie do opisania, i przy tych słowach padła bezprzytomna u nóg doktora.

* * *

Wszystko w życiu tej matki, jak później sprawdził doktór, było nieszczęściem od początku do końca.

Zostawszy wdową, bez krewnych, bez przyjaciół, poświęciła się wyłącznie wychowaniu dziecka, dla którego odmawiała sobie pierwszych potrzeb, nie szczędziła pracy i poświęceń żadnych. Na nic się nie przydały te ofiary wszystkie, chłopiec wcześnie wszedł na złą drogę, a idąc po niej wbrew radom i naukom matki, doszedł po szczeblach zepsucia do upadku i hańby, zakończonej śmiercią z wyroku sądowego.

Tego lekarza młodego oczekiwało w jego karyerze wyjątkowe powodzenie; może być że wielu na jego miejscu byłoby zapomniało o nieszczęśliwej obłąkanej matce skazanego, ale on nie zapomniał nigdy.

Przez lata całe odwiedzał ją w schronieniu w którem ją umieścił, pamiętając o potrzebach i starając się o to wszystko, co w jej położeniu ulgę jakąkolwiek przynieść mogło. Miała na krótko przed śmiercią kilka chwil przytomności, a wtedy modliła się o szczęście człowieka, który jeden na świecie całym ulitował się jej nędzy i rozpaczy. Wysłuchaną była tym razem, bo dostatki i zaszczyty upodobały sobie tego wybrańca, a on u szczytu pomyślności pamiętał zawsze o owym dniu, który mu zostawił wspomnienie największej niedoli ludzkiej, jaką przez życie swoje oglądał.

Dziennikarstwo paryskie.

Jak to zapewne mało komu wiadomo, prasę francuzką przedstawia imponująca liczba 2,500, różnego rodzaju dzienników wielkich i małych, pism tygodniowych, dwutygodniowych, miesięcznych i kwartalników nie licząc nawet tych efemerycznych gazetek, które secinami całemi powstają i giną corocznie.

Główną rubrykę stanowią tutaj wszelkiego rodzaju pisma specyalne, naukowe, techniczne, zaspakajające potrzeby sfer artystycznych, rzemieślniczych, pośrednich pomiędzy dwoma ostatniemi kunsztów i t. p. Dalej idą gazety finansowe, których jest 200 z górą — lekarskie wychodzące w liczbie 190 — politycznych 170 — illustrowanych 104 — dzienników mód 103 — sportowych 60 — magnetyzm ma pism 12 — marki pocztowe 8.

Jak długo żyje to wszystko brać możemy miarę z tego choćby uogólnienia, że mało bardzo który z tych organów dochodzi 40 lat wieku; zresztą ze szczegółowego wykazu najpoczytniejszych z pomiędzy nich łatwiej będą mogli osądzić. I tak:

Nestor dzienników francuzkich „Gazette de France," liczy 267 lat egzystencyi. Założono to pismo za panowania Ludwika XIII.

Jest jedno pisemko jeszcze starsze, ale przez wzgląd na jego podrzędność wymieniamy je na drugiem dopiero miejscu, a mianowicie „Petites Affiches" liczące lat 284.

„Moniteur Universel" (dawny „Journal Officiel" a potem „Gazette Nationale") założony w r. 1789, a zatem 107 lat wieku.

„Journal des Debats" tego samego wieku.

„Constitutionel" założony w roku 1815.

„L'Univers" datujący od Restauracyi—75 lat życia.

Sześćdziesięcioletnich gazet jest 3 a mianowicie: „Charivari" 64 lat — „La Presse" 62 — „Siecle" 61.

„La Patrie" od panowania Ludwika Filipa 56 lat.

„La Pays" (późniejszy „Journal de l'Empire") założony w roku 1841.

„Figaro" młodszy o lat 10.

Cztery dzienniki mniej więcej trzydziestoletnie:

„Le Monde" 37 lat — „Le Temps" 35 lat — „La France" 35 lat — „Le National" i „Le Soir" po 28 lat wieku.

„La Republique Française," „L'Ordre," „Le XIX Siecle," „Le Radical," „L'Evenement," „Le Soleil" po 24 lat.

„Le Rappel" 26 lat.

„L'Officiel" założony w ostatnich latach cesarstwa 28 lat.

„Le Voltaire" i „L'Estafette" po 18 lat.

„La Justice" i „La Paix" po 17 lat.

„L'Intransigeant" 16 lat.

„Gil Blas" 17 lat.

„Le Matin" i „L'Echo de Paris" 13 lat.

„L'Autorité" 10 lat.

Reszty nie wymieniamy bo to młodzież zupełna, natomiast z tak zwanej Małej Prassy, która zrównała się zupełnie z wielką (nie wiadomo czy dlatego, że ona urosła, czy że ta wielka zdrobniała) najdawniejsze są:

„Petit-Journal" 33 lat egzystencyi.
„La petite Presse Illustrée" 30 lat.
„Le petit Moniteur" 27 lat.
„Le petit Caporal" 21 lat.
„Le Lanterne" 19 lat.
„Le petit Parisien" 19 lat.

K.

TO I OWO.

✱ Uzdrawiający w Violas. Po wspomnianej w jednym z poprzednich numerów „Tygodnika" jasnowidzącej z ulicy Paradis w Paryżu, do której spieszą chorzy, kaleki i inni chciwi pomocy lub uzdrowienia, po fabrykancie sabotów z Chicago, który leczy cudownie, nie wypada nam pominąć milczeniem cudotwórcy z Violas w okolicy Nimes w południowej Francyi. Sława jego przekroczyła już nietylko granice departamentu, ale i Francyi nawet, secinami bowiem spieszą mieszkańcy szwajcarskich kantonów niemieckich do Violas, a ruch ten przybrał w ostatnich czasach takie rozmiary, iż administracya drogi żelaznej ustanowiła osobne pociągi spacerowe z Genewy do Genholac (w pobliżu Violas), tak zupełnie, jak gdyby chodziło o źródła mineralne albo stacyę klimatyczną.

Cudotwórcą jest p. Vignes. Jest to sobie zamożny siedmdziesięcioletni rolnik skromnego obejścia, który się niczem od reszty śmiertelnych nie wyróżnia, chybaby jednem swojem spojrzeniem, budzącem, jak powiadają, głębokie wrażenie. Przyjmuje między 12 a 1-szą w południe, a wyjątków nie robi dla nikogo. Zdaje się, że nietylko nie jest dumnym z daru uzdrawiania, w który wierzy zarówno jak wszyscy jego klienci, ale nawet robi mu to nieprzyjemność, gdy ma komuś udzielić rady. Dawniej utrzymywał listę osób, które się do niego zgłaszały, ale od jakiegoś już czasu zaniechał wszelkiej kontroli, bo liczba nawiedzających wzrasta z każdym rokiem. Przed dwoma laty ostatni rachunek wykazał liczbę 3,500 osób w ciągu roku. Na każdej konsultacyi jest 10 do 15 chorych, którzy oczekują na cudotwórcę razem; ten wchodzi i rozpoczyna przemowę: „Czego żądacie odemnie? Bóg jest wszędzie; tak dobrze może on was uzdrowić w domu jak tutaj. Ja jestem taki sam człowiek jak każdy z was. Żyjcie dla Boga, nie dla świata; miejcie ufność nieograniczoną a będziecie uzdrowieni." To kazanie małe powtarza po kilka razy a cudzoziemcom każe je tłómaczyć na niemiecki język. Potem zwraca się do chorych. Jeśli ma do czynienia z paralitykiem lub cierpiącym na reumatyzm, każe mu wykonać kilka poruszeń — jeśli z głuchym, mówi do niego głosem coraz niższym. Przytem strofuje rodziców, którzy psują dzieci, robotników którzy palą lub piją, nie szczędzi słów zachęty i odwagi i obiecuje uzdrowienie zupełne.

Ma on także dar leczenia na odległość a dzienniki przytaczają niezmierną moc uzdrowień prawdziwie cudownych. Paralitycy, dotknięci półparaliżem, reumatycy, głusi, epileptycy, neurastenici, cierpiący na kataraktę — wszyscy tacy doznają tam ulgi lub uzdrowienia zupełnego. Jest kalwinem i między współwyznawcami nawet swoimi ma tłumy wierzących w swoją potęgę.

Charakterystycznem jest także, że darów ani pieniędzy nie przyjmuje wcale.

✱ Jako najwyższą głębinę morską uważano dotąd wysondowaną na wodach Japońskich przez osadę okrętu Tuscarora — głębinę wynoszącą 8,514 metrów. Przekonano się jednakże w tych czasach, dzięki pracom przedsięwziętym przez kapitana angielskiego statku Pengnin, iż na oceanie Spokojnym między wyspami Kermadeh a Archipelagiem wysp Przyjacielskich są głębie o wiele większe.

Jedna z nich wynosi 9,185 metrów, druga 9,414, trzecia nakoniec 9,428 i tę ostatnią uważać musi nauka za najznaczniejszą dopóki ktoś znowu nie da się słyszeć z nowem odkryciem, któreby tamto w cień usunęło. Trzy te wielkie kotliny nie należą do jednego zagłębienia, a przeciwnie są podzielone znacznemi wyniosłościami.

Dno morskie utworzone jest w tych dolinach z glinki czerwonej, w której brak prawie zupełnie szczątków organizmów krzemionkowych.

✱ Pierwszorzędna arterya komunikacyi zadecydowaną została w tych czasach w Stanach Zjednoczonych. Idzie o połączenie za pośrednictwem kanału, zdatnego do żeglugi wielkich statków, jezior Erie i Ontario a następnie przedłużenie tego kanału do punktu spławnego rzeki Hudson. Głębokość projektowana na 8 metrów, szerokość 91 metrów. Ziści się tedy marzenie Amerykanów, którzy od bardzo dawna projektowali to otwarcie drogi do wielkich jezior dla żeglugi transatlantyckiej. Koszta wynosić mają 1 miliard franków, a czas przypuszczalnego ukończenia robót oznaczony jest na lat 10. Ten miliard, jeśli się weźmie pod uwagę obfitość i ruchliwość kapitału w Ameryce jest drobnostką, a żeby przedsiewzięcie poszło śladami przekopu Panamskiego o tem nikt nawet nie pomyśli.

✱ Zwolennicy systemu kremacyjnego propagując tę metodę niszczenia szczątków pośmiertnych człowieka, wychodzili między innymi i z tego także motywu, że dotychczasowe grzebanie ciał sprzyjało rozwojowi organizmów chorobotwórczych, powstających przy rozkładzie zwłok ludzi zmarłych na choroby zakaźne. Tymczasem ostatnie doświadczenia przekonały, że mikroby zakaźne wcale nie tak długo żyją, jak się to do tej pory uczonym i nieuczonym wydawało. I tak baccyllus tyfoidalny nie przeżywa stanowczo 98 dni po inhumacyi, tuberkuliczny ma tę samą w przybliżeniu trwałość, żyje bowiem dni 95 najdłużej. Zarazek choleryczny jest nawet wyjątkowo krótkotrwałym, zamiera bowiem stanowczo po upływie dni 28. Jedne tylko mikroby tetanos i karbunkułu są najtrwalsze, obydwa żyją mniej więcej 360 dni, jak to ostatecznie stwierdzonem zostało. Z tych tedy względów przynajmniej palenie ciał nie jest koniecznością, za którąby przemawiało bezpieczeństwo ludzkie.

Wskazówki i rady.

KLUSECZKI NA LEGUMINĘ.

Zagnieść pół kwarty lub pół funta, co jest trochę mniej, najpiękniejszej mąki pszennej jednem jajkiem, cienko rozwałkować i pokrajać na podłużne wązkie kluseczki, które jak zwykle ugotować na obfitej osolonej wodzie. Po odlaniu wody póki gorące wymieszać z łyżką młodego masła i dwoma rozbitemi żółtkami, położyć rozrzucone na blaszany półmisek lub na patelnię masłem wysmarowaną i zapiec 15 minut w gorącym piecu. Oddzielnie zrobić sos śmietankowy z pół kwarty słodkiej śmietanki, w której zagotować pół laski wanilii (wanilia teraz tania) i zaparzyć nią 6 żółtek ubitych do białości z 8 łutami cukru, potrzymać na gorącej blasze mieszając aż zgęstnieje i wystudzić. Wyjąć z pieca troszkę tylko rumiane kluseczki, polać tym zimnym sosem, podając resztę w sosierce.

Pani H. S. Na pytanie zrobione mi w „Kuryerze Codziennym" odpowiadam, iż borówki mnożą się z wypustek, które się bierze w lasach torfowych, czyli gdzie się torf kopie. Lepsze od tych są jeszcze torfiarki amerykańskie o wielkich owocach, które nabyć można w zakładzie ogrodniczym braci Hoserów w Alei Jerozolimskiej.

Lucyna Ćwierczakiewiczowa.

Odpowiedzi od redakcyi.

W-na Jadw...a Czar... st. Ustłumienka. Odpowiedź w numerze 16 „Tygodnika," 35 kop. ma sz. p. w naszej kasie.

W-na M. M...n w Ostrogu. Odpowiedź w numerze 16 „Tygodnika."

☞ Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

BOGUSŁAW HERSE,

Warszawa, Senatorska 10.



Nowości Wełn.

Nowości Jedwabi.

Pongee, Fulary, Gazy fantazyjne na bluzki,
Batysty, Muśliny indyjskie, Piki.

Nowości przybrań.

Koronki, Gipiury, Hafty na batyście,
Nowości wstawek.—Falbany plisowane.

Wstążki i Szarfy we wszystkich kolorach.
Wstążki Chiné, Ombré, Glacé, Caméléon.

Galony i Tiule Médicis, Gazy Luxeuil, Pailleté, etc.
Odpasowane bluzki, przybrania staników etc.

Echarpes „Bretonnes,“ „Grenade“—Fichus.
Żaboty—Garniturki batystowe.
Przody do żakietów.—Gotowe bluzki.
Halki.—Pończochy.
Nowości pasków.—Rękawiczki.

En-cas i Parasolki fantazyjne.

Kapelusze podług modeli od Virot, Reboux, etc.

Nowości Woalek.

ZNACZNY WYBÓR
GOTOWYCH OKRYĆ WIOSENNYCH

Peleryny strojne haftowane. — Żakiety.
Peleryny z pledów !Golfcapes! — Mac-Ferlan.
Peleryny double face od rs. 12.50. — Cache-poussière.

44611

NIECAŁA Nr 6.

KAUKAZKI MAGAZYN.

J. Chodżejnatow.

NOWOŚCI

Materye jedwabne w desenie, prążki i gładkie

Fulary francuzkie, kaukazkie i krajowe jedwabne i półjedwabne od ***30 kop. za arszyn.***

Kanaus na bluzki od ***45 kop. arszyn.***

Gazy, Krepy, Plusze ***w wielkim wyborze.***

Atłas we wszystkich kolorach, od ***40 kop. arszyn.***

Kanaus ***najlepszy gatunek,*** we wszystkich kolorach, ***95 kop. arszyn.***

Czarne, gładkie i w desenie materye jedwabne

w wielkim wyborze.

Portyery, Dywany, Meble gotowe w wielkim wyborze. **Aksamit.**

Na żądanie próbki wysyłają się odwrotną pocztą. Magazyn mój w Warszawie żadnych filij nie posiada, a tylko przy ulicy Niecałej Nr 6.

J. Chodżejnatow.

44711

Дозволено Цензурою, Варшава 15 Апрѣля 1896 г. Warszawa, Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca Jan Skiwski. DODATEK.